Nr. 42. We Lwowie dnia 21. października 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Gimnazja dla dziewcząt.

Zmiana warunków społecznych, dzięki ktorej współczesna kobieta coraz częściej znajduje się w położeniu, wymagającem od niej oparcia swego bytu na samoistnej pracy, prowadzi oczywiście dalsze konsekwencje za sobą. Przedewszystkiem na polu wychowania kobiet. Jasnem jest, że skoro kobieta ma pracować sama na siebie, to musi też być odpowiednio do tego przygotowana, t. j. otrzymać wykształcenie, uzdalniające ją do podjęcia z powodzeniem walki o byt. A gdy się zważy, ile to zdolnych kobiet o całe niebo wyżej stoi pod względem umysłowym od mających małe uzdolnienie mężczyzn, dla których pomimo to stoją otworem wszelkie szkoły, — to przyznać trzeba, że i kobietom wstęp na wszechnice powinien być bezwarunkowo dozwolony.

W zrozumieniu tej niezbędnej potrzeby, liczne uniwersytety udzieliły kobietom prawa wstępu na kursa wyższe, a dzięki temu już w ciągu ostatnich lat cały szereg intellektualnych przodowniczek ruchu kobiecego potrafił zwalczyć wszelkie trudności i do ukończenia studjów wyższych doprowadzić. Ten fakt świadczy, iż praktyczne konsekwencje, wysnute z teoretycznych przesłanek o prawie kobiety do wyższego wykształcenia — były zupełnie logiczne. A jeśli tak jest,—jeśli kobiecie przyznano prawo do wyższego wykształcenia uniwersyteckiego, to najbliższą konsekwencją tego, musi być uprawnienie kobiet do wykształcenia gimnazjalnego, ponieważ gimnazjalne wykształcenie jest podstawą uniwersyteckiego. A zatem — zreorganizowanie szkół żeńskich w tym kierunku, aby ich kurs odpowiadał w zupełności gimnazjom męskim.

Przypatrzmy się bliżej temu żądaniu, uwzględnijmy przedewszystkiem zebrane na tem polu doświadczenia w Niemczech.

W Niemczech postarano się uczynić zadość potrzebie wykształcenia gimnazjalnego dla kobiet w ten sposób, że w Berlinie i Lipsku istnieją kursa gimnazjalne dla kobiet, w Karlsruhe, Kolonji i Wrocławiu zaś — gimnazja dla dziewcząt.

Rezultaty wynikły nad wszelkie oczekiwanie — marnie. Położenie rzeczy najlepiej da się określić paradoksalnem może twierdzeniem, że zakłady te nie wystarczają potrzebom a prowadzą żywot nader nikły z powodu braku poparcia.

Przyczyny niezrozumiałego może na pozór faktu łatwo wytłómaczyć, jeśli się uwzględni tę okoliczność, że rodzice muszą się zdecydować oddać z domu gdzieś do obcego miasta dwunastoletnią dziewczynkę, — że muszą się wyrzec wszelkiego nad nią dozoru osobistego, oddać ją w obce ręce i tem samem niejako usamodzielnić.

Z tego więc powodu z prowincji nie przybywa wcale uczennic do wspomnianych powyżej zakładów. W samem zaś mieście liczba dziewczynek, kształcących się w zakresie kursu gimnazjalnego, nie jest dostateczną, aby szkołę utrzymać.

A wreszcie, gdy się zważy, że wykształcenie t. zw. humanistyczne jest dziś właściwie stekiem uznanych powszechnie wykroczeń przeciw pedagogice, to trudno brać za złe rodzicom, że chcą córkom swoim oszczędzić losu uczniów gimnazjalnych, z których zaledwie $1/5$ część wychodzi ze szkół z upragnionym patentem dojrzałości, reszta zaś do końca życia uważa lata spędzone na ławie gimnazjalnej — za stracone.

Gdy więc z różnorodnych względów takie postawienie kwestji zakładów gimnazjalnych żeńskich należy uważać za chybione, w jakiż inny sposób należy zadość uczynić potrzebom?

Wskazuje ku temu drogę, przykład Holandji, gdzie w szkołach (np. Haageren Burgerschool vor Jongens met vyfjahrigen Cursus) gimnazjastki z gimnazjastami uczęszczają na te same kursa. Wyniki tego systemu są bardzo dobre. Np. jeśli w jednej rodzinie chłopiec i dziewczyna uczęszczają oboje do gimnazjum, to zazwyczaj wywiązuje się między nimi współzawodnictwo, które nauce tylko na dobre wychodzi.

W ten sposób ułatwia się pobieranie nauki niewielkiej liczbie dziewcząt, dla których założenie specjalnego gimnazjum byłoby niemożliwe, a nadto zostawia się je pod opieką rodziców.

Ręka w rękę z przeprowadzeniem tej reformy, iść powinna reforma systemu nauczania i zakresu nauki. Program t. zw. humanistyczny nie uwzględnia albo wcale, albo niedość uwzględnia naukę obcych, żywych języków, a już zupełnie prawie pomija nauki przyrodnicze. Przytem kurs powinien być obliczony na czas od 12 do 17 roku życia. Oto krótki szkic reform, które zaprowadzić by trzeba.

r.

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

6)

Dynamika społeczna

(Historjozofja).

Cabet w dziełku swojem: *Le vrai christianisme*, stwierdza licznemi cytatami z apostołów i ojców kościoła komunistyczny charakter pierwotnego chrześcijaństwa. Czytając o ustroju i życiu wewnętrznem pierwszych gmin chrześcijańskich, które ze znaczną dokładnością i wielkiem mistrzowstwem odtwarza klasyczny angielski historyk z XVIII. stul., Gibbon [1]), przekonywamy się także o tem. Każda gmina chrześcijańska — można powiedzieć — stanowiła prawdziwą rzeczpospolitą. Wspólne użytkowanie z dóbr było prawem w gminie. Nikt nie powinien był cierpieć głodu, i w tym celu były urządzane wspólne obiady i agapje. W gminie panowała równość rodzinna: po za uszanowaniem dla rodziców należnem od dzieci, po za związkiem małżonków, byli to bracia i siostry. Biskup, wybrany przez powszechne głosowanie, zdolności i pracę swoją oddawał na usługi gminy, nie wywyższając się ponad nią. Dla porozumienia się gmin z sobą służyły zgromadzenia, zjazdy, synody. W żadnej epoce dziejowej nie przedstawiało się takie rażące przeciwieństwo dwóch obok siebie istniejących ustrojów: gminnego, opartego na umowie, t. j. na łączności w dobrej woli, i podbojowego, utrzymującego łączność żelazną prawicą. Gminy chrześcijańskie zachowywały taki ustrój przez sto lat przeszło, ale w miarę jak się mnożyli wyznawcy z klas wyższych, panujących, uwydatniał się coraz potężniejszy wpływ na nie państwa.

Renan słusznie utrzymuje, że gdyby środkowym punktem chrześcijanizmu pozostała była Jerozolima, to nie miałby on tego dziejowego znaczenia, jakie pozyskał w rozwoju postępowym ludzkości. Ale skutkiem ruiny Jerozolimy, punkt środkowy chrześcijanizmu przeniósł się do stolicy państwa uniwersalnego i tam mogła tylko powstać i sformować się w myśl utworzenia kościoła uniwersalnego, powszechnego, katolickiego. Przyswoiwszy sobie te filozoficzne pojęcia, do których wzniosła się umysłowość Greków, i te zasady moralne, do których doszła praktyczna mądrość Rzymian, wytworzył on pojęcie ludzkości, obejmując równem uczuciem miłości i chęci zbawienia cały rodzaj ludzki. Państwo rzymskie zdobyło cały niemal wówczas znany świat i panowało nad nim za pomocą oręża, kościół stawił sobie zadanie zdobyć cały rodzaj ludzki uczuciem i przekonaniem i rządzić duszami za pomocą tylko środków duchowych.

Szczególnie ważne znaczenie dziejowe pozyskał kościół zachodni, rzymski, katolicki, skutkiem upadku państwa rzymskiego i opanowania całej Europy zachodniej przez hordy najezdnicze barbarzyńców. Był on przedstawicielem wyższej cywilizacji, jaką wyrobiło grecko-rzymskie społeczeństwo; pod jego opiekuńcze skrzydła schroniły się wiedza i praca. Saint-Simoniści znakomicie uwydatnili to przeciwieństwo, jakie przedstawiały podówczas: z jednej strony, chrześcijańska społeczność pokojowa, zjednana przez kościół, a z drugiej strony, społeczność najeźdźców barbarzyńskich, żyjąca w nieustannych wojnach, zbrojna, tworząca liczne państewka.

W tych czasach, kiedy — mówiąc słowami Woltera. — Europa przedstawiała pustynię, na której wilki, tygrysy i lisy dusiły rozproszone i lękliwe bydło [1]), jedynie kościół mógł do pewnego stopnia wstrzymać rozpędy dzikiej i rozpalonej natury najezdniczej panów, działając na ich wyobraźnię, i dzięki temu nieraz dawał obronę i opiekę uciśnionym. I chociaż następnie w barbarzyńskiem społeczeństwie najeźdźców Karol Wielki podniósł tradycją cesarstwa rzymskiego, to kościół na tyle już był silny, że najwyższy naczelnik organizacji kościelnej, papież, swoją powagę i władzę wywyższał ponad cesarską, i w nieustannej walce papiestwa z cesarstwem o supremację nad ludami, nieraz cesarze musieli korzyć się przed głową kościoła. Szczytem potęgi władcy Rzymu katolickiego, można uważać Wojny Krzyżowe.

[1]) The History of the decline and fall of the roman empire. 1787. Część I. str. 219 i następne.

[1]) Str. 70. T. XVII. Essai sur ler moeurs w Oeuvres completes de Voltaire. 1785.

Tak zwane Średnie Wieki mają dla socjologa wielkie znaczenie nie tylko z tego względu, że w tym okresie czasu ukształtowały się narody, które przyczyniły się i przyczyniają dotąd najwięcej do rozwijania cywilizacji ogólnoludzkiej, ale jeszcze bardziej z tego względu, że w tym okresie powtórzył się w Europie zachodniej proces ewolucyjny życia społecznego od niższych onego stopni, a zwłaszcza proces kształtowania się narodów. Hypoteza podbojowego pochodzenia państw potwierdza się w zupełności średniowieczną historją. Ewolucyjny proces, który widzimy w zachodniej Europie po upadku cesarstwa rzymskiego, był powtórzeniem tego procesu, który się odbywał w starożytności, ale w skróceniu i w znacznem zmodyfikowaniu. To, do czego dochodziły starożytne społeczeństwa przez kilka dziesiątków tysięcy lat, średniowieczne osiągały w kilka stuleci. To przyśpieszenie przebiegu odbywającego się procesu zależało od tego, że dawne wyniki rozwojowe były znacznie zmienione, i że pojawiły się nowe. Najeźdźcy barbarzyńscy w średnich wiekach przedstawiali już wyższy typ biologiczny, z bardziej rozwiniętym mózgiem, więcej udoskonaloną mową i w ogóle wyższy stopień uspołecznienia, aniżeli te hordy nawet aryjskie, które zakładały w odległej starożytności państwa na półwyspach: Bałkańskim i Włoskim. Najważniejszym jednak modyfikującym czynnikiem była grecko-rzymska cywilizacja, zachowująca się pod opiekuńczem skrzydłem kościoła katolickiego.

Kościół rzymski, zyskując pogaństwo dla religji katolickiej, zasiewał w niem ziarna cywilizacji rzymskiej. Przy kościele stawała szkoła, a nauczanie języka łacińskiego było głównem onej zadaniem. Język też łaciński stał się nie tylko powszechnym pomiędzy duchowieństwem i uczonymi, ale stał się językiem urzędowym w sądach i administracji. Zdeptana przez barbarzyńców cywilizacja odradzała się, i epoka, w której dokładniej poznano klasyczną starożytność, słusznie otrzymała nazwę Odrodzenia (renesansu), ponieważ wstrzymany przez najazd barbarzyńców postępowy rozwój myśli ludzkiej, z nową młodzieńczą siłą snuć się począł i, kiedy starożytność doszła tylko do pojęcia obywatelskości (cywizmu), znakomici pisarze z epoki Odrodzenia, dzięki wpływowi kościoła katolickiego, wznieśli się do jeszcze wyższego pojęcia humanizmu (człowieczeństwa), i słusznie też otrzymali nazwę humanistów.

W pierwszej połowie Średnich Wieków, rolnictwo stanowiło niemal jedyną podstawę bytu ekonomicznego społeczeństw zachodnio-europejskich. Budowanie kościołów i zamków przyczyniło się ogromnie do rozwoju budownictwa. Ważne postępy w żegludze i idące za tem odkrycia morskie, sprzyjały rozwojowi handlu. Miasta zakwitły dobrobytem. We Włoszech powstały rzeczypospolite, przypominające starożytne greckie swoją oświatą, swobodą i poczuciem obywatelstwa. Z ludu poddańczego kształtował się stan pośredni, tak zwany trzeci stan, opierający swoje znaczenie na nauce i bogactwie, ale przedewszystkiem na bogactwie.

Organizacja kościelna, która w pierwszej połowie Średnich Wieków oddała wielką usługę ludzkości, przechowując i rozwijając starożytną cywilizację, następnie zaczęła przeszkadzać jej rozwojowi, pętając polot myśli ludzkiej i naginając ją ku własnym widokom. Poprowadziła do rokoszu przeciwko papiestwu, jako głowie kościoła uniwersalnego. Narody przytem, dochodząc do większej świadomości, usiłowały nadać państwu i kościołowi bardziej narodowy charakter. Usiłowania te i dążenia objawiły się w tem wielkiem wstrząśnieniu w życiu społeczeństw europejskich, jakie zaszło w epoce tak zwanej Reformacji.

Nauka, wyzwoliwszy się od opieki kościelnej, szybkie czyniła postępy. Wraz z jej rozwojem mnożyły się środki i zasoby także życia materjalnego. Odkrycia geograficzne rozszerzały rynek handlowy. Przemysł wzrastał w nową potęgę wskutek koncentrowania rzemiosł w zakłady rękodzielnicze (manufakturę) przez ludzi pieniężnych. Wszystko to przyczyniło się do znacznego uświadomienia interesów narodowych i pragnienia odpowiedniejszego takowym urządzenia swego ustroju wewnętrznego i stosunków zewnętrznych. Wielka Rewolucja, która poruszyła niemal Europę i która odbiła się także na lądzie amerykańskim, była olbrzymim objawem usiłowań w tym kierunku czynionych.

Skutki jednak tych usiłowań były połowiczne. I inaczej być nie mogło. Nauki społeczne, wskazujące drogi i sposoby świadomego oddziaływania na rozwój życia, niemal przed samą Rewolucją kształtować się poczęły. Stan trzeci, późniejsza burżuazja, który przewodził w tej walce z feudalizmem ziemskim, potrzebował przedewszystkiem obalenia tego feudalizmu, a to było także największem pragnieniem i największą potrzebą ludu pracującego. Kiedy więc feudalizm ten, opierający się na bezpośredniej zależności jednych ludzi od drugich, runął i skutkiem tego produkcja, zarówno rolnicza jak i przemysłowa, wzrosła ogromnie, brak pracy, brak zarobku nie dawał się uczuwać ludności, i ta zadawalniała się swojem położeniem. Najważniejszą jednak przyczyną było to, że masy ludowe, skutkiem braku oświaty, były ciemne, a odsunięte od uczestnictwa w życiu politycznem, zostawały ciągle w swem biernem usposobieniu.

Jakkolwiek skutki, osiągnięte przez Wielką Brytanję i przez rewolucje późniejsze, były połowiczne, to jednak przyspieszały i przyśpieszają one ewolucję wyzwalania się ludu pracującego. Obowiązkowość szkoły, rozwój dziennikarstwa, popularyzacja wiedzy — szerzą oświatę. Zdobyta w państwach konstytucyjnych wolność zgromadzania się i stowarzyszania, oraz wybory polityczne, oparte na coraz powszechniejszem prawie

głosowania, przyzwyczajają ludność do czynnej roli, do samodzielnego występowania. I widzimy też w Europie, zwłaszcza zachodniej, w Ameryce i w Australji coraz większe wzmaganie się ruchu ludowego, tj. takiego ruchu, w którym lud pracujący stara się wywalczyć odpowiednie swoim interesom stanowisko i organizację w państwie. Najwcześniej ruch ten ludowy objawił się po miastach i wśród robotników przemysłowych, albowiem wskutek ogromnych postępów wiedzy stosowanej, przemysł, przeistaczając się coraz bardziej z rękodzielniczego w maszynowy, w fabryczny, koncentruje na jednem miejscu wielką liczbę robotników. Coraz gęstsza z każdym rokiem sieć kolei żelaznych, zbliża wioski do miast i ułatwia wzajemne porozumiewanie się wiosek z sobą. I potężny ruch ludowy, silnie zorganizowany po miastach i świadomy swojej przyszłości, przenosi się do wiosek pomiędzy włościaństwo, wyrywając je z tej ociężałej i uległej bierności, w której przez długie wieki ono pozostawało.

Wraz z rozwojem ruchu ludowego rośnie, rozwija się i wzmaga *socjalizm*. Mając za zadanie zorganizować tak społeczeństwo, ażeby z dobrodziejstw życia społecznego wszyscy zarówno mogli korzystać, ażeby ujarzmianie i wyzyskiwanie jednych przez drugich nie było możliwe, ażeby stosunki wzajemne opierały się nie na przymusie, lecz na umowie, słowem, ażeby wszyscy czuli się wolni i równi, mając takie zadanie, socjalizm oczywista najbardziej odpowiada pragnieniom, interesom i potrzebom ludu robotniczego. Najświadomsza więc część klasy robotników przemysłowych przyjęła w zupełności zasady socjalistyczne. Jest to nowa religja, która zjednywa coraz większą liczbę gorących wyznawców i która ma wszelkie cechy zostania powszechną łącznią narodów, *międzynarodową*, albowiem jakkolwiek ma ona naukową podstawę, która wraz z rozwojem socjologji staje się coraz widoczniejszą, to wszakże dla ogromnej większości, jest ona sprawą uczucia sprawiedliwości i miłości (altruizmu), jest ona pragnieniem powszechnego braterstwa pomiędzy ludźmi i ludami. Budzi ona w szerokich warstwach ludu pracującego zamglone i tęskne wspomnienia o pierwotnym gminnym ustroju, złamanym przez żelazną prawicę państwową, i roznieca nadzieję wskrzeszenia onego. Historja socjalizmu pod wielu względami przypomina historję chrześcijanizmu. (D. n.)

CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

8) PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

Przywitały tę wieść gromkie okrzyki oficerów i żołnierzy. Wśród pomieszanych głosów, słychać było wyraźnie jedno tylko słowo:

— Wenecja! Wenecja!

Gdy krzyki umilkły, kapitan zabrał głos znowu:

— Serca nasze uderzają silniej, albowiem marzenie o zjednoczeniu Włoch, marzenie, dla którego tysiące ludzi poległo na polu bitew, dla którego wszyscy, jak tu jesteśmy — starzy i młodzi, weterani i nowozaciężni — gotowiśmy życie położyć w ofierze — to szczytne i wielkie marzenie, spełnia się powoli i stanie się wkrótce rzeczywistością potężną... O Wenecjo! Wenecjo! Ojczyzna nosiła po tobie żałobę, choć wiedzieliśmy, żeś nie umarła, lecz że cię wykradziono; byłaś nam jednak zgryzotą ustawiczną. Ty, nasza ukochana, nasza sławna, ty cudzie sztuki włoskiej i włoskiego genjuszu, wpadłaś w ręce wroga. Nikt nie mógł wymówić twego imienia bez łzy w oku, wszystkie serca biegły ku tobie, nasze kobiety nosiły naszyjniki z czarnych paciorek, przezwane *łzami Wenecji*. Lecz dziś my wszyscy myślimy o tobie z radością, twe imię znowu napełnia nas dumą, i znowu możemy się chełpić, żeśmy żołnierze i Włosi.

Wśród zgromadzonych przebiegł szmer wzruszenia. Chorąży podniósł w górę sztandar i powiewał nim tryumfalnie. Galernicy stali z głowami obnażonemi i zdawali się czekać.

— Jestem pewien — mówił dalej kapitan z naciskiem — że i wy wszyscy, urzędnicy i dozorcy, którzy służycie ojczyźnie bez rozgłosu, lecz z poświęceniem, którzy rozumiecie, że każdy obowiązek jest szlachetnym, jeżeli jest szlachetnie pojętym i spełnionym; wy, którzy jesteście ramieniem sprawiedliwości wykonawczej, którzy dobrowolnie skazaliście się na wygnanie i uwięzienie na tej wyspie, pewien jestem, że i wy cieszycie się serdecznie, iż Wenecja jest naszą!

Rozbrzmiały oklaski. Cecylja, stojąca za oleandrem, przykładała do ust chustkę, bojąc się głośnym płaczem wybuchnąć.

Tłum się zwarł jeszcze bardziej, czworobok żołnierzy zacieśnił się, galernicy mieli oczy utkwione w dyrektora. On spojrzał na nich, a wła-

ściwie zanurzył w nich wszystkich jedno przeciągłe spojrzenie, jak gdyby chciał zajrzeć do dna tych dusz zbrodniczych.

— Galernicy! — rzekł wreszcie, a jego głos donioshy, do wszystkich serc przeniknął — i wam także, wobec sztandaru, chciałem tę dobrą nowinę obwieścić. Po całych Włoszech, w siołach i miastach, w chatach wieśniaczych i w pałacach magnackich, panuje dziś radość. W najodleglejszych stronach Europy, a nawet w Ameryce i Australji pod równikiem i pod biegunami, gdzie tylko Włoch błądzi, na wodach mórz, lub na pustyni, wieść o wyzwoleniu Wenecji wzbudzi radość i dumę. Nie chciałem was wyłączyć z tego ogólnego wesela. Jesteście zbrodniarzami, przestępcami; mądrem i słusznem było prawo, które w imieniu monarchy i narodu, wyrokiem sędziów odłączyło was od społeczeństwa ludzi uczciwych, skazując na ciężką pracę. To prawo było słuszne, albowiem przez pokutę usiłuje wzbudzić w was żal i skruchę. Lecz tam, gdzie się kończy prawo społeczne, tam się zaczyna prawo człowiecze i Boskie; prawo pobłażliwości i miłosierdzia. Jesteśmy dla was surowi, lecz nie bezlitośni. Otóż dziś radość powinna być ogólna, serca powinny uderzać jednozgodnie. Ja zapominam o waszej przeszłości skalanej, wy zapomnijcie o waszej karze; chcę, byście brali udział w ogólnem święcie narodowem. Wszak i wy jesteście Włochami. Dziś pamiętajcie tylko o tem!

Umilkł. Wśród głębokiej ciszy słychać było przyśpieszony oddech stu piersi. Wszystkie twarde serca skruszyły się, niejedna sroga twarz była zroszona łzami.

Nagle wśród tego ogólnego wzruszenia, głosik cieniutki zawołał:

— Niech żyje Wenecja!

Okrzyk ten wzniósł Mario, powiewając białymi berecikiem. Z ust bladego dziecięcia padło to słowo wielkie.

I wszyscy — oficerowie i żołnierze, urzędnicy i dostawcy, skazani czasowo i dożywotnie — wszyscy jednogłośnie, z głębi duszy powtórzyli okrzyk dziecka tak gromko, że aż ziemia zadrżała w posadach:

— Niech żyje Wenecja!

Gdy zmierzch spowił ziemię, zapłonęły lampki w papierowych latarniach. Były one albo trójbarwne; białe, czerwone i zielone, lub też w jednym kolorze, lecz pozawieszane po trzy razem, by wyobrażały barwy narodowe.

Zawieszano je w girlandy, w grona, sznurem, na balkonach, w oknach, u drzwi, u gzemsów wzdłuż ulic, na gałęziach drzew; przyczepiano je nawet na kratach cel, w których byli zamknięci oporni przestępcy.

Na wysokim maszcie świeciła symboliczna gwiazda Włoch, utworzona z trójkolorowych lampionów.

Trzeba było dużo ludzi i dużo pracy dla przygotowania iluminacji; przestępcy pomagali żołnierzom, wspinali się wraz z nimi na drabiny, zawieszali latarnie na drzewach.

O ósmej cała wyspa była podobną do tratwy, pływającej na wodach spokojnego jeziora, lśniła się barwami narodowemi, połyskiwała od świateł, których odbłysk padał na białe domki i na ciemne pola; z tej tratwy płomiennej wśród ciszy nocnej wznosiły się muzyka i śpiewy.

Kapela miejscowa grzmiała na placu, otoczona wesołym tłumem. Wszyscy przestępcy byli na swobodzie. Dyrektor kazał dozorcom nie spuszczać z nich oka, ale pozwolić im się bawić z innymi.

Gdy muzyka się ukazała, zaczęto wołać:

— Marsz królewski! Marsz królewski!

— Hymn narodowy!

Marsz królewski, rozpoczynający się odgłosem trąb, podobnym do haseł bojowych, grany był na zmianę z hymnem Garibaldiego, upajającym, jak wino. A ilekroć trąby wszczynały marsz lub hymn, ze wszystkich piersi wydobywał się okrzyk potężny i rozbrzmiewał po całej wyspie:

— Niech żyje Wiktor Emanuel!

— Niech żyje Garibaldi!

Potem zagrano *pot-pourri*, ułożone z motywów narodowych i wojowniczych. Gdy muzyka zaczęła znaną arję „La Bella Gigogin“ i „Fenestra che lucivi“[1]), żołnierze i galernicy zaintonowali tę pieśń chórem. C. d. n.

MELODJE LITEWSKIE.

Przynajmniej pod jednym względem literatura nasza przewyższa literatury wszystkich ludów europejskich: pod względem ilości i jakości zbiorów pieśni ludowych. Prócz melodji śląskich Rogera, galicyjskich Wacława z Oleska, białochrobackich Wójcickiego, małoruskich Kocipińskiego i innych, zebranych w różnych zakątkach dawnej Rzeczypospolitej, posiadamy piękne zbiory pieśni ludowych polskich Glogera, Konopki, a przedewszystkiem olbrzymie dzieło Kolberga: „Lud“, obejmujące w 34 tomach wszystkie niemal melodje ludowe, podania, baśnie, legendy, przysłowia zwyczaje, obyczaje, obrzędy itp., ułożone systematycznie, serjami, podług poszczególnych cząstek kraju. Do całości obrazu etnograficznego ziem dawnej Rzeczypospolitej, niedostawało tylko pieśni litewskich. Wprawdzie i to pole odłogiem nie leżało; zbierał na

niem Kolberg swoje „Pieśni litewskie“, a Brzozowski „Pieśni ludu nadniemeńskiego“, folkloryści niemieccy: Bartsch „Dainu Balsai“, Hoffheinz „Giesmin Balsai“, Rhesa i inni; trochę nakoniec pieśni litewskich, harmonizowanych na głosy męskie (przez Niedzielskiego, Rzepkę, Biernackiego, Maszyńskiego, Polińskiego i innych), wydał dr. Kudirka (Tylża 1895 — 99 r. pt. „Kankles Lietuviskos Dainos“). Były to wszakże prace nieusystematyzowane, dorywcze, i pod względem obfitości materjału nader ubogie. Dopiero obecnie ukazał się w handlu księgarskim zbiór pieśni litewskich, który już wielu wymaganiom jest w stanie zadość uczynić.

Mówimy tu o „Melodjach ludowych litewskich“, zebranych w pokaźnej liczbie 1785-ciu, przez ks. Antoniego Juszkiewicza w okolicach Puszołat i Wielony, a wydanych kosztem krakowskiej Akademji umiejętności, przez Baudouina de Courtenay i Z. Noskowskiego.

Wspaniałe to wydawnictwo ma swoją historję. Po śmierci Juszkiewicza, brat jego, Jan, oddał ten zbiór Baudouinowi do rozporządzenia nim według swojego uznania. On ze swojej strony przesłał zbiór Karłowiczowi do oceny i obmyślenia sposobu uprzystępnienia go muzykom i ludoznawcom. Karłowicz zachęcił komisję antropologiczną Akademji umiejętności do wydania zbioru Juszkiewicza. Akademja przekazała tę sprawę swemu sekretarzowi Kopernickiemu, a następnie Kolbergowi. Ten ostatni uporządkował zgrubsza cały zbiór, a oprócz tego opracował do druku pierwszych 120 melodji. Po śmierci Kolberga dalszem uporządkowaniem zbioru zajął się Kopernicki, a po jego zgonie losy wydawnictwa złożyła Akademja znów w ręce Baudouina de Courtenay, który, zaprosiwszy Noskowskiego do opracowania działu muzycznego tego dzieła, wraz z nim wydawnictwo szczęśliwie do końca zdołał doprowadzić.

Rozpatrując się w melodjach litewskich, widzimy, że różnią się one wielce od pieśni polskich, zwłaszcza pod względem rytmiki i akcentów. Rytmika pieśni naszych jest znacznie bogatsza, dowolniejsza i bardziej urozmaicona, nawet w melodjach tanecznych i śpiewankach, posiadających pozornie takt jednakowy, jak polonezy, kujawiaki, obertasy i mazury.

Mówimy pozornie, gdyż w rzeczywistości każda z tych melodji posiada rytmikę tak odrębną, że nawet profan z łatwością odróżnić potrafi poloneza od oberka, a tego ostatniego od mazura. Melodje zaś litewskie posiadają rytmikę prawie jednostajną, a naciski (akcenty) powtarzające się prawie bez zmiany na jednych i tych samych częściach taktu.

Lwia część tych melodji jest utrzymana w takcie trójkowym, skombinowanym z półnut i ćwierćnut; część mniejsza idzie w takcie dwójkowym. Ale i w tej ostatniej cząstce spotykamy się z wielu melodjami, co do których nie mamy wątpliwości, że zostały źle znutowane przez ks. Juszkiewicza pod względem rytmicznym. Naprzykład pieśń 1395, która nie w $^2/_4$, lecz iść winna w $^3/_4$, w ten sposób, żeby trzy takty dwójkowe składały się na jeden trójkowy. Że tak być winno, o tem świadczy przedewszystkiem charakter melodji, w której drgają wyraźnie rytmy polonezowe.

Takiej rytmiki trójkowej, nie zaś dwójkowej domagają się, według mojego zdania, pieśni oznaczone numerami: 35, 711, 731, 754, i kilka innych.

Mimo jednak jednostajność rytmiczną, pieśni litewskie posiadają wiele oryginalności, zwłaszcza pod względem melodyjnym i tonacyjnym, oraz fantazji w układzie tych melodji w formy dowolne, bez oglądania się na prawidła i wymagania rytmiki taktowej. Niektóre bowiem pieśni posiadają odcinki trzytaktowe, zmieniające się z dwutaktowymi; niektóre znów mają zdania pięciotaktowe lub okresy siedmiotaktowe; spotkać się też można z pieśniami dwuczęściowemi o nieparzystej lub nierównomiernej ilości taktów.

W większej liczbie pieśni przeważa nastrój smętny; rzadko w nich dźwięczy nuta żartobliwa, wesoła a jeszcze rzadziej bohaterska.

Pod względem tonacyjnym panuje w nich wielkie urozmaicenie. Wiele z tych pieśni, np. 21, 22, 102, 488, 746, 1095, 1104, 1729, noszą wyraźne ślady wpływu gam starogreckich, co przemawia za ich starożytnością. Pieśń ostatnią zbioru, oznaczoną numerem 1785, p. Noskowski nazywa w dopisku „wprost zagadką“, a to z powodu chromatycznego pochodu czterech nut w takcie czwartym i piątym, który jakoby „nie ma przykładu w pieśniach ludowych“. Przedewszystkiem pochody chromatyczne, lubo bardzo rzadko pojawiają się w pieśniach ludowych, jednak pojawiają się; np. w pieśni weselnej kujawskiej: „Czyja ja teraz?“, oraz niektórych melodjach tanecznych; a powtóre owa niby zagadka mniej się nam dziwnie przedstawi, jeśli jej damy właściwą oprawę tonacyjną, nie zaś, jak to uczynił ks. Juszkiewicz, który ją znutował niegramatycznie w nieistniejącej samodzielnie tonacji Des-mol, na co p. Noskowski nie zwrócił uwagi, zamiast w Cis-mol. Gdyby była znutowana w tej ostatniej tonacji, wówczas w drugim takcie miałaby dis-e, nie zaś es-e, a w piątym wcale już niezagadkowy, aczkolwiek rzadki w pieśniach ludowych, pochód chromatyczny: d-cis-his.

Co do pieśni 1781, zamieszczonej również w dodatkach, p. Noskowski nazwał ją słusznie „naleciałością, jest to bowiem przeróbka popularnej pieśni małoruskiej: „Ubił bat'ka sojku“. Natomiast uwaga, zamieszczona w wykazie omyłek druku, zalecająca wyrzucenie krzyżyka z przed nuty, g, w takcie ostatnim pieśni 61, jest niewłaściwa, jako stosująca się do piosenki małoruskiej, pochodzenia świeżego (pieśń żołnierska, znana i u nas), a więc utrzymanej w dzisiejszej gamie A minor, której zprawa należy się ton gis.

Co się tyczy strony zewnętrznej wydawnictwa, dobroci papieru, piękności i wyrazistości druku, „Melodje ludowe“ mogą pod tym względem śmiało rywalizować z najwspanialszemi tego rodzaju wydawnictwami zagranicznemi. Szkoda tylko, że wydawcy nie zdobyli się na umieszczenie pod tekstem litewskim przekładu polskiego, który ma być umieszczony w części drugiej wydawnictwa. Dopiero wówczas, gdy to nastąpi, „Melodje litewskie“ przedstawiać będą nieoceniony materjał do studjów nietylko muzycznych, jak dziś, lecz i ludoznawczych.

W końcu zaznaczamy, że wydawcy przypisali „Melodje litewskie“ wszechnicy Jagiellońskiej, nazwanej tak od imienia swego odnowiciela; odnowiciel zaś ten, a właściwie założyciel był — *Litwinem.*

„Kurjer Warszawski“. *Aleksander Poliński.*

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

IX*) Obraz historyczny.

Goście terhanowskiego pana nie długo bawili w Ujeździe: tyle jeno, ile trzeba było czasu, aby zgromadzić i zabrać ze sobą pozostawione tam wojsko. Teraz, kiedy dokumenty uległy zniszczeniu, a lud, zgnębiony i wylękły, nie myślał o buncie, siła zbrojna nie była już tam potrzebna.

Górale odetchnęli gdy żołnierstwo zniknęło im z oczu. Odetchnęli, ale się nie radowali, bo serca poiła im goryczą myśl o więzionych na zamku, a bardziej jeszcze o zagrabionym skarbie, co był jedyną gwiazdą nadziei w niewolniczem życiu.

I w chacie Przybków, jako i w całej wiosce, żałobna panowała cisza. W izbie, za stołem lipowym, siedział Pajdar z Poczynowic, wuj Maryny. Został sam w Ujeździe, nie chcąc opuścić osieroconej dziewczyny, a Szerłowskiego wyprawił z wieściami do domu. Dzielny chłopak usłuchał rozkazu, choć niechętnie. Wolałby też ostać, lub Marynę wziąść ze sobą, gdyby jeno chciała, gdyby się zgodziła... Przez caluteńką drogę o miłej swej dziewczynie myślał, pocieszając się w strapieniu nadzieją, że wuj Pajdar nie da jej przecie ukrzywdzić.

Troszczył się o nią daleko bardziej, niż ona sama o siebie. Dziewczę nie chciało bowiem ani słyszeć o zamieszkaniu u krewnych w Poczynowicach. Jakżeby mogła odejść stąd, nie wiedząc nic o losie dziadka i ojca?... Oni, ci drodzy więzniowie, zaprzątali jej myśl, o nich się troszczyła, o nich wypytywała, gdzie tylko mogła. I teraz właśnie wpadła do izby i przerwała dumania wuja Pajdara, przynosząc mu nowiny. Spiesznie, z ogromnem wzruszeniem jęła opowiadać, jako wraca od Kozinów, gdzie widziała się z matką Jana, która była aż dwa razy tego dnia w Terhanowie. Wieści, które stamtąd przyniosła, nie należały do wesołych. Panowie ostro obchodzili się z więźniami, a zwłaszcza z jej ojcem i Janem. Głos drżał i rwał się biednej dziewczynie, gdy mówiła, że ojca, Jana i grajka Iskrę bito kijami... Wuj porwał się na te słowa z ławy, na której siedział. Kary cielesne, smaganie, były to rzeczy nieznane dotąd u Chodów.

— Do pioruna! — kijami — kijami grają na naszych grzbietach! — wołał w uniesieniu najwyższem. — Na straszne rzeczy patrzyły moje oczy, ale takich jeszcze nie widziały!... Inaksze, widać, nowe nastają teraz czasy... O panowie, panowie!...

Mówili jeszcze o więźniach — o dziadku i ojcu zwłaszcza, gdy furtka zaskrzypiała, dwa cienie przesunęły się w zapadającym zmierzchu pod oknami i ci, co byli przedmiotem ich troski, ich rozmowy, stanęli we drzwiach izby. Stary Przybek szedł naprzód, znużony, przygarbiony, z włosami w nieładzie. Ale gdy Maryna podbiegła ku niemu i ujęła drżące jego ręce w pieszczotliwe dłonie, twarz starego rozpogodziła się nagle. Maciej przekroczył próg z drzewcem na ramieniu, milczącym jeno uściskiem ręki odpowiadając na powitanie Pajdara. Zaczem ustawił troskliwie drzewce chorągwiane w rogu izby, polecił córce, by uwarzyła polewkę dla dziadka, siadł za stołem, i wsparł zmęczoną głowę na rękach.

Maryna zakrzątnęła się koło nalepy, ale oczy jej patrzyły częściej na ojca, niż w ogień. Ciężkie milczenie przerwał nakoniec Pajdar.

— Źle się wam wiodło — rzekł stając przed krewnym. — Powiadali, jako was kijami...

— Milcz! — przerwał Maciej, gwałtownym ruchem podnosząc czoło. — Dość mam tej hańby, wystarczy!... Ciarachy przeklęte! Hale nie zabaczę im tego — mówił głucho, powstając z ławy. Przysięgam na Boga, nie zabaczę... A kiej przysięgi nie dotrzymam, niech ciało moje zczernieje, jako i ten węgiel...

Czerwony blask łuczywa, które Maryna trzymała w ręku, padł na mówiącego. Olbrzymi, z ramieniem w górę wzniesionem, w białem odzieniu, blady, zapatrzony kędyś w dal gorejącemi oczyma, Maciej wyglądał w tej chwili wspaniale i groźnie.

Stary Przybek, siedząc na werku, ze splecionemi na kolanach rękami, patrzał na syna i powtarzał półgłosem:

— Ta gwiazda — ta gwiazda!...

* * *

Matka Jana modliła się o zapadającym zmroku we wdowiej swej chałupie. Potrzebowała bardzo chwili samotności i skupienia. Przez całą noc ubiegłą nie mogła usnąć ani na chwilę. Do późna siedziała u synowej, aż dzieci posnęły, aż wszystko się uspokoiło. A zaledwie brzask skrwawił niebo, pognała do Terhanowa. Tam krążyła długo wokoło zamku, wypatrując oczy na białe mury w nadziei, że dojrzy gdzie drogą twarz syna, lub że się dowie czegoś przynajmniej o nim i o towarzyszach niedoli. Wróciła jednak z niczem do synowej, która jej wyglądała, jak na rozżarzonych węglach. Po południu, nie mogąc usiedzieć w domu, poszła znowu pod zamek, ale wiadomościami, stamtąd przeniesionemi, nie podzieliła się z Hanką, której okazywała w nieszczęściu tkliwe serce matki. Teraz, po odejściu wojska, zamknęła się u siebie w chacie i jęła modlić się

*) W porządku kolejnym rozdział niniejszy powinien był poprzedzać ustęp, podany w nr. 40 Tygodnia. Został jednak pominięty przez pomyłkę. Za to niedopatrzenie, uprzejmie, z prawdziwem zakłopotaniem przepraszamy Szanownych Czytelników.

za syna. Głęboka cisza panowała dokoła, jeno wiatr jęczał żałośnie w szybko zapadającym mroku wieczornym. Wtem stary Wilk zaszczekał na dworze. Modląca się podniosła głowę, w oczekiwaniu, ale pies umilkł, wróciła więc do pacierzy. Nie modliła się jednak długo: pod oknami zatupały drobne, śpieszne kroki i do izby wpadł Pawełek, zarumieniony, zdyszany, wołając, że ojciec wrócił. Nim zdążyła jednak dopaść drzwi, na progu ukazał się on sam z małą Hanuśką w ramionach, a za nimi szła Hanka, rozpromieniona, szczęśliwa...

Na widok pobladłej twarzy Jana i chusty skrwawionej na jego czole, oczy matki zaszkliły się łzami. On to dostrzegł i z głębokiem wzruszeniem ujął rękę, którą mu podawała na powitanie i — jak oboje to czuli i rozumieli — na przeproszenie.

Cała rodzina skupiła się przy stole babuni, radując się z powrotu młodego gospodarza, którego dzieci nie chciały ani na krok odstąpić. Hanka wypytywała męża o pobyt na zamku, na co on krótką, nic nie mówiącą dał odpowiedź i zwrócił wnet rozmowę w innym kierunku. Matka mówiła niewiele. Jedno tylko pytanie paliło jej usta, nie wypowiadała go wszakże, odczuwając, że syn tego sobie nie życzy.

Szczęśliwą gromadkę powiększyło niebawem przybycie gościa. Zawitał do nich niespodzianie wuj z Drażenowa, stary Krzysztof Hruby.

— Słyszałem, wiem już o wszystkiem, drogi chłopcze! — mówił, witając serdecznie Jana...

A gdy zrzuciwszy płaszcz i kapelusz, usiadł za stołem, młoda gospodyni wymknęła się niepostrzeżenie, aby wieczerzę uwarzyć dla męża i gościa.

— Tedy już wiesz, Krzychu — zaczęła matka, chcąc jak najrychlej przystąpić do sprawy, która obchodziła ją bardziej, niż wszystko inne.

— Hej! słyszałem... Spalili nasze dokumenty, ale nie nasze prawo — rzekł Krzysztof z westchnieniem.

Wdowa wyciągnęła rękę i chciała coś powiedzieć, gdy wejście wójta Syki, „prokuratora“, przerwało jej mowę.

— Witajcie, gosposiu! Teraz możemy mówić o wszystkiem w obecności tego oto sokolika — mówił gość, stojąc jeszcze we drzwiach i wskazując na Jana. — Lepszy z niego prokurator odemnie... Ale wiecie z czem przychodzę?... Hań w kancelarji nie mieli wszystkich naszych dokumentów...

— A jakożby mieć je mogli! — zawołała żywo stara Chodka i podnosząc się z ławy, zerwała chustkę, którą miała skrzyżowaną na piersi i z troku wywinęła pergamin z pieczęcią, a potem drugi...

— Dwa! I to najważniejsze — te same, Syko, o których mówiłeś, że wystarczyłyby przed sądem, bo w nich streszczają się wszystkie nasze prawa...

Stała za stołem, trzymając w podniesionej prawej ręce stary pergamin z wielką wiszącą pieczęcią, a płonące jej oczy przebiegały po twarzach obecnych mężczyzn z wyrazem radosnego tryumfu. Ci, na widok dokumentów, porwali się wszyscy razem, jakby jedną sprężyną poruszeni: młody zapaleniec Jan, rozważniejszy Syka i białowłosy wójt Drażenowski. Syka wyciągnął obie ręce ku papierom, jakby chcąc się dotykalnie przekonać, że to te same, prawdziwe...

— Te same, nasze! — uspakajała go wdowa, uśmiechając się radośnie. A potem opowiedziała, jako syn zwrócił jej uwagę na wójtowstwie, że panom nie o niego chodzi, lecz o dokumenty i pytał, azali dobrze je ukryła. Wtedy przyszło jej zaraz na myśl wyjąć ze skrzyni te dwa najważniejsze wraz ze starą pieczęcią, którą też na stole położyła.

— Tych panowie już nam nie zabiorą — dodała z akcentem głębokiego przekonania, ogarniając wzruszonem spojrzeniem leżące na stole dokumenty.

— Nie zabiorą, — nie! powtórzył Jan. — I tamte, spalone, Lomikar odda nam jeszcze — oddać musi!

Oczy mu zaświeciły, gdy to mówił, a blade lica okryły się gorącym rumieńcem. Stary wuj Drażenowski skinął głową na znak zgody, a Syka podał szorstką prawicę młodemu śmiałkowi.

Hanka krzątała się tymczasem raźnie koło nalepy, strojąc wieczerzę. Radował ją powrót męża, radowała bardziej jeszcze myśl, że w przyszłości nie będzie już miał żadnych zatargów z panami. Bo i o cóżby, kiedy starych papierów już niema? Hanka nie bardzo ich żałowała... Były powodem tylu sporów, strat, umartwień, a zawdy nadaremnie!

Jan przeboleje z czasem ich stratę, — przeboleje z pewnością, a wtedy spokój i szczęście wrócą do ich chałupy... Mąż będzie znowu należał do niej, — wyłącznie do niej i do dzieci!...

Tłum. M. Wysłouchowa.

Z pism i książek.

Uczniowie i towarzysze cechów krakowskich od drugiej połowy wieku XIV do połowy wieku XVII, napisał *Zbigniew Pazdro*, Lwów 1900. — Jestto czwarty zeszyt wydawnictwa uczniów seminarjum z prawa polskiego prof. Oswalda Balzera, wydawanego pod kierownictwem i redakcją tegoż profesora.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.